

Paweł Włodarczyk

Szkoła Podstawowa Nr2 w Miechowie

Klasa 8B

## **Dzieci Pahiatua - historia przybycia polskich dzieci do odległej i egzotycznej Nowej Zelandii**

Początek II wojny światowej to dla Polaków nie tylko klęska militarna, ale przede wszystkim dramat cywilów. Chaos, zagubienie, lęk, rozpacz i bezsilny gniew ludzi, którym odebrano prawo do spokojnego, uporządkowanego przeżywania ich zwyczajnych dni. Choć o wydarzeniach, które rozegrały się w naszym kraju we wrześniu '39 i które toczyły się przez kilka najbliższych lat, mówi się wiele, to nadal jednak mamy skąpą wiedzę o dramacie tysięcy polskich dzieci, które zostały wyrwane z całymi rodzinami, z domowych gniazd, ze wschodnich rubieży dawnej Rzeczypospolitej. Mało kto z nas potrafi odpowiedzieć na pytanie, co stało się z polskimi uchodźcami ze Związku Sowieckiego. Niestety, większość z nich pozostała na obczyźnie – zostali porzuceni po odległych rejonach świata, od Iranu po Indie, Meksyk, Afrykę, aż po Nową Zelandię.

Określenie Dzieci z Pahiatua dotyczy 733 dzieci osieroconych przez zesańców syberyjskich podczas II wojny światowej. Deportowane wraz z około 1,5 mln mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej, ocalały w sierocińcach mimo skrajnie trudnych warunków. Wydawało się, że ich los jest przesądzony. Łut szczęścia sprawił, że dostały drugą szansę w Nowej Zelandii.

Zaczynając tę odyseję, musimy cofnąć się do 17 września 1939 roku, kiedy to Armia Czerwona na mocy tajnego porozumienia Ribbentrop-Mołotow, zajęła Kresy Rzeczypospolitej. Władze ZSRS traktowały wywózki nie tylko jako formę

walki z wrogami politycznymi, ale także element eksterminacji polskich elit, a przede wszystkim możliwość wykorzystania tysięcy osób jako bezpłatnej siły roboczej. Była to przemyślana i planowo przeprowadzana zbrodnia na polskim narodzie.

Wysiedlani mieszkańcy Kresów Wschodnich byli często zaskakiwani przez Sowieców w nocy lub o świcie, a następnie zmuszani do jak najszybszego spakowania najpotrzebniejszych rzeczy i prowiantu. Deportowanych kierowano na dworzec kolejowy, na którym oczekiwały już nieocieplane wagony. Panujące w nich przepełnienie, chłód, fatalne warunki sanitarne oraz niedostatek wody pitnej wpływały na znaczny odsetek śmiertelności już w czasie trwającego wiele tygodni transportu.

Ponad półtora miliona Polaków zesłano do łagrów na Syberii, w Kazachstanie i w innych republikach ZSRR. W tej liczbie było około 379,5 tys. dzieci do lat 14. Nie oszczędzono im grozy i atmosfery terroru podczas ewakuacji. Ci, którzy przeżyli transport, byli skazani na niewolniczą i katorżniczą pracę w syberyjskiej tajdze, m.in. przy wyrębie lasów i budowie linii kolejowych. Codziennie toczyli walkę o przetrwanie w sowieckich obozach, w których poza mrozem, więźniom dawały się we znaki głód, powodowane przez robactwo choroby, a także stosujący represje sowieccy strażnicy. Wielu ludzi zmarło z głodu, chorób, mrozu i wycieńczenia. Tysiące małych zesańców zostało sierotami. Największa śmiertelność była wśród dzieci.

Sytuacja zmieniła się, diametralnie po agresji Niemiec na ZSRR. W konsekwencji 30 lipca 1941 r. wznowiono stosunki dyplomatyczne między ZSRR i Rządem Polskim na Uchodźstwie. To porozumienie spowodowało, że ludność polska w Związku Radzieckim została objęta amnestią i Polacy mogli organizować własną armię, by walczyć ze wspólnym wrogiem. Zdesperowani zesańcy, jak wezbrana rzeka, uciekali falami na południe, do rejonów,

gdzie formowało się Wojsko Polskie na Uchodźstwie. Łącznie zebrało się ich ok. 77 000 żołnierzy i 43 000 cywilów w tym 20 000 dzieci, których przecież nikt zostawiać nie zamierzał. Armia Andersa świetnie wykorzystała „okienko możliwości”, które się otworzyło tuż po ataku Niemiec na Związek Sowiecki. Długo to jednak nie trwało. Już w 1942 r. zaczęły się piętrzyć problemy wokół polskiego wojska. Wtedy Anders, przeczuwając, że „okienko” za chwilę się zamknie, uzyskał zgodę na przeniesienie wojsk do Persji, która wtedy była pod kontrolą brytyjską. Uzyskał ją i w ten sposób Polacy trafili na Bliski Wschód. W Isfahanie pod czułą opieką lekarzy, księży, wychowawców i nauczycieli dzieci powoli zaczęły wracać do sił. Nie był to jednak ich ostatni przystanek. Stamtąd rozpoczął się ich dalszy szlak tułaczy na wszystkie kontynenty świata.

Dzięki staraniom polskiego rządu oraz współpracy z Wielką Brytanią przed polskimi uchodźcami pojawiła się nowa możliwość na odzyskanie choć namiastki „normalnego” życia: zamieszkanie w bezpiecznych miejscach w różnych rejonach świata. Jedni zostali na Bliskim Wschodzie w Persji, Palestynie, Libanie. Innych gościnnie przyjęły Indie. Największe grupy znalazły się w Afryce, Meksyku, Nowej Zelandii. Każde osiedle uchodźcze stanowiło „małą Polskę.”

Konsul RP w Nowej Zelandii, Kazimierz Wodzicki wraz z żoną, hrabiną Marią Wodzicką, zdawali sobie sprawę z dramatycznej sytuacji Polaków wywiezionych na Syberię, toteż z pasją i determinacją starali się ocalić jak najwięcej rodaków. Maria Wodzicka, jako delegatka PCK, starała się wziąć sprawy w swoje ręce. Udawała się na rozmowy z osobami z tzw. „wyższych sfer” oraz z żoną samego premiera Nowej Zelandii - Janet Fraser. W sprawę zaangażował się również Nowozelandzki Czerwony Krzyż. 13 listopada '43 roku tamtejsze Ministerstwo Spraw Zagranicznych zwróciło się do polskiego

konsulatu z niezwykle wiadomością. Brzmiała ona następująco: *„Jeśli zechcecie umieścić polskie dzieci w Nowej Zelandii, my nie będziemy widzieli ku temu żadnych przeszkód.”*

W odpowiedzi na zaproszenie rządu Nowej Zelandii, na którego czele stał premier Peter Fraser, w dniu 1 listopada 1944 r. 732 dzieci i 105 osób personelu, w tym 52 matki, amerykańskim okrętem „General Randal” przyплыnęło do Wellington w nadziei, że po zakończeniu wojny wrócą do Polski. W „nowym domu” dzieci wracały do zdrowia, nabierały sił, podejmując naukę w zorganizowanych na terenie obozu szkołach. Lekcje w szkole obozowej odbywały się po polsku. Nawet nazwy ulic były polskie. Polska administracja tworzyła samorząd, była tam polska szkoła podstawowa, polskie gimnazjum, polski kapelan i harcerstwo. Obóz nazywano „Małą Polską”.

Rząd Polski na Uchodźstwie, dopóki był jeszcze uznawany przez aliantów i posiadał odpowiednie fundusze, pokrywał część kosztów utrzymania dzieci oraz opiekunów. Potem pełną odpowiedzialność za obóz przejęło wojsko nowozelandzkie. Po zajęciach szkolnych dzieci pomagały w utrzymaniu porządku w obozie.

Władzom Nowej Zelandii naprawdę zależało na tym, aby polskie dzieci czuły się dobrze w ich kraju. W tym celu namówiono nowozelandzkie rodziny, by te zapraszały do siebie małych Polaków i w ten sposób ułatwiły im adaptację w nowej ojczyźnie. Niestety, wielu Nowozelandczyków było oburzonych skalą pomocy, jaką otrzymywali od ich kraju Polacy. Premier Fraser odpowiadał na zarzuty, podkreślając, że obóz czerpał środki od Rządu Polskiego w Londynie.

„Dzieci z Pahiatua” w rzeczywistości nie były imigrantami. Były gośćmi Rządu Nowej Zelandii zaproszonymi na krótki czas. Sądzono, że wrócą do Polski, skąd pochodziły. Nie miały jednak dokąd wracać, ta część naszej Ojczyzny, z której przybyły, została włączona do ZSRR. Ich domy i cały dobytek

skonfiskowano, rodziny pomordowano lub wywieziono w głąb Rosji. Łącznie w latach 1945-1946 przyszło 830 zaproszeń dla dzieci. Przyjmowanie tych zaproszeń było dla dzieci testem. Wojna się już bowiem skończyła i w teorii zaproszenie ich do Nowej Zelandii przestało obowiązywać. Powinny one wręcz wrócić do kraju. Miały tego świadomość nowe polskie komunistyczne władze i nawet wysyłały inspekcje do Wellington, by przekonać się, w jakich warunkach młodzież dorasta i przypomnieć im o tym, że już czas wracać do ojczyzny. Dla wielu to był trudny test. Część dzieci (zwłaszcza tych, które do Nowej Zelandii przyjechały z rodziną) zdecydowała się na powrót do kraju. Ale to byli nieliczni. Rząd Nowej Zelandii, świadom zmian geopolitycznych po konferencji jałtańskiej, po raz kolejny wystosował zaproszenie. Tym razem brzmiało ono: *„Zostańcie u nas, ile chcecie, a my zajmiemy się waszym utrzymaniem i dopilnujemy, żebyście mieli warunki niezbędne do rozwoju”*. Tak się rzeczywiście stało. Rząd Nowej Zelandii udzielił polskim dzieciom prawa stałego pobytu, zaproponował, by pozostały do czasu, gdy dorosną i będą w stanie same zdecydować, czy chcą pozostać w Nowej Zelandii czy wrócić do Polski.

W 1948 r. do Nowej Zelandii przyjechała duża grupa polskich migrantów, którzy osiedlili się w Wellington, a dzieci stopniowo do nich dołączały. Ostatecznie polski dziecięcy obóz w Pahiatua został zamknięty 15 kwietnia 1949 roku. Budynki i baraki obozowe zostały sprzedane i wywiezione do innych miejscowości, gdzie służyły jako stodoły na farmach, sale zebrania i domy wypoczynkowe. Niektóre stoją do dziś. Teren zamieniono na gospodarstwo rolne. Większość mieszkańców obozu już wcześniej weszła w dorosłość i się z niego wyprowadziła. Ci, co byli w nim do końca, zostali przeniesieni do hosteli w Wellington. Młodszych chłopców umieszczono w Bursie Polskich Chłopców w mieście Hawera. Najmłodsze dziewczęta zamieszkały pod opieką sióstr urszulanek w Bursie Polskich Dziewcząt w Wellington. Bursę zamknięto,

gdy urszulanki odwołano do Polski w 1958 roku. Część starszych chłopców mieszkała w Bursie Polskich Chłopców w Wellington do 1952 roku. Inne dzieci i młodzież rozesłano do internatów przy gimnazjach katolickich. Część starszej młodzieży wysłano do pracy w miastach i na farmach.

Dla dzieci rozesłanych wówczas po różnych katolickich szkołach ten okres był szczególnie trudny. Nie dosyć, że były one w ogóle nieprzygotowane do pobierania nauki w języku angielskim, to ponownie zostały oderwane od swoich źródeł, tym razem od „obozowej rodziny”. Wepchnięte między obcych, czuły się, osamotnione wśród niezrozumiałej dla nich kultury.

Jedynym pozostałym śladem po polskich dzieciach była mała, zbudowana z kamieni rzecznych, grota ku czci Matki Boskiej wzniesiona przez dzieci w pierwszych latach ich pobytu w obozie. Z czasem grota popadła w ruinę. W 1971 roku grupa byłych polskich dzieci z Pahiatua wyłoniła ze swego grona Komitet Budowy Pomnika. Właściciel farmy podarował mały kawałek gruntu przy szosie, gdzie dawniej znajdowała się tylna brama wjazdowa do obozu. Tu powstał przydrożny plac rekreacyjny. Pomnik został uroczystie odsłonięty 22 lutego 1975 roku. Część kamieni z dawnej groty wmurowano w cokół pomnika. Stylizowany pomnik przedstawia matkę z dzieckiem na okręcie pod żaglem. W 1994 roku, w 50. rocznicę przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii obok pomnika postawiono tablicę pamiątkową ze zdjęciami i opisem obozu w dwóch językach, polskim i angielskim.

W sierpniu 2018 r. w hołdzie dla „dzieci z Pahiatua” prezydent Andrzej Duda odsłonił w stolicy Nowej Zelandii skwer nazwany imieniem Polskich Dzieci. W uroczystości otwarcia skweru i odsłonięcia tablicy oprócz przedstawicieli „dzieci z Pahiatua” uczestniczyli też Polacy z młodszych pokoleń oraz lokalne władze. Prezydent wręczył trójce Polaków odznaczenia państwowe. Jeden

z odznaczonych, Zdzisław Lepionka, mówił w czasie uroczystości, że wojenna tułaczka Polaków uczyniła z nich lepszych ludzi.

„Ten ból, który nas dotknął, uczynił nas też innym człowiekiem, bardziej dojrzałym, bliższym Bogu, bliższym każdemu człowiekowi i światu. Ten ból straty Ojczyzny, rodziców, to jest ból nas wszystkich. Ból przemieniający dusze, ból, który ubogaca i czyni ludzi szlachetniejszymi”.

Włączenie się polskich dzieci do obcego społeczeństwa okazało się sukcesem. Sukces ten odniósł zarówno rząd nowozelandzki, jak i osiągnęły go też polskie dzieci, które uznały ten kraj za swój nowy dom i dodatnio przyczyniły się do jego rozwoju. Sukces ten jest tym bardziej niezwykły, bo nastąpił po przebytych trudnościach – dzieciństwie napiętnowanym wojną, okrucieństwem doznany na wygnaniu, osieroceniem i pozostawieniem w obcym kraju. Polskie dzieci wniosły, co miały najlepszego w swe nowe otoczenie, głęboki patriotyzm, karność, samodzielność i wychowanie religijne. Nie zapomniały nigdy o Polsce. Dziś tworzą zintegrowaną wspólnotę polonijną. Wszyscy mówią po polsku, czują się związani z Polską. Czują, że są częścią historii Polski.

Wspomnienia tych tragicznych wojennych dziejów są wyrazem hołdu wobec wychowawców i ludzi dobrej woli, których dzieci z Pahiatua napotkały na swojej drodze życia. Ich historia jest wciąż żywym świadectwem wiary, nadziei i miłości do Polski, o której marzyli Legioniści Dąbrowskiego, a dzieci w czasie swej tułaczki powtarzały ich słowa, tak ważne dla Polaków: „*Marsz, marsz do Polski*”.